

Teksty Drugie 1992, 4, s. 155-159



Niepochwytny Treugutt

Mirosława Puchalska

Pożegnania

Niepochwytny Treugutt

Słyszę po latach, od lat, jego głos. Co się staje z głosem po śmierci? Jak jest, skoro go słyszę? „Na ziemi mojej dalekiej, na której mnie może nie będzie”, to jak u Miłosza. O Boże. Był.

[O Tadeuszu Borowskim — pocie, z zapisków Stefana Treugutta, 13 VIII 1983]

Właśnie głos Stefana jest tym, co jako pierwsze narzuca się wspomnieniu. I jeśli nawet z jego rozproszonych publikacji da się skomponować dwie, trzy nowe książki i dołączy się je do już wydanych, to i tak najważniejszy będzie Treugutt mówiący.

Jego osobowość objawiała się przede wszystkim w kontakcie bezpośrednim, w rozmowie, w istnieniu momentalnym. Kiedyś takich ludzi nazywano artystami życia. Nie mam na myśli modernistycznej psychosocjologii cyganów czy estetów, lecz swoistą hierarchię wartości, paradoks uwiarygodniania sztuki życiem, ukazywania jej w obrębie doświadczonej tu i teraz wielopoziomowej egzystencji współczesnego człowieka.

Treugutt nie dążył do budowania sobie trwałego monumentu z dzieł własnych, literaturoznawczych czy krytycznoteatralnych. Trochę to lekceważył. Satysfakcję dawało mu ulotne obcowanie z ludźmi, z polityką, z arcydziełem podlegającym próbie dnia dzisiejszego. Dlatego może tak kochał teatr — sztukę realizującą się wobec widowni, dlatego cenił sobie telewizję i radio.

Jego sukces jako protagonisty mass mediów polegał chyba na tym, że

umiał omijać stereotypy kultury popularnej. Kiedyś zapytałam go: jak ty to robisz, że tak przykuwasz uwagę słuchacza i telewidza? Po prostu wyobrażam sobie — odpowiedział — że mówię do pojedynczego człowieka, do jednej osoby, że nawet patrzę jej w oczy. Ten sekret rzemiosła gwarantował dwa osiągnięcia: po pierwsze, intymność kontaktu, a więc jego autentyczność, po drugie, narzucane odbiorcy partnerstwo intelektualne i emocjonalne, wspólnotę przeżyć. Przypomina się „czytelnik idealny” Karola Irzykowskiego.

Oczywiście, trzeba było mieć dar takiej wypowiedzi, i publicznej i prywatnej, która stawała się natychmiastowym zaistnieniem w spektaklu życia. Nie bez znaczenia był tu może aktorski epizod Treugutta. Zagrał on kiedyś prawdziwą rolę sceniczną — w sztuce *Androkles i lew* Shawa. Kiedy po latach trochę sobie z tego podżartowywałam, Stefan spojrział na mnie rozżalony; było to przecież jego cenne doświadczenie.

Jak tyle innych, o których niewiele wiemy. Powściągliwy w zwierzeniach, napomykał np. niekiedy o swych osobliwych perypetiach młodzieńczych w Drohiczynie, Hajnówce, Siemiatyczach. Był dzieckiem inteligenckim, synem nauczycieli, ale zdarzało mu się za okupacji radzieckiej i niemieckiej bywać pisarzem gminnym i robotnikiem kolejowym. Być może także i tutaj kryją się korzenie jego kontaktowości, umiejętności nawiązywania rozmowy z ludźmi różnych środowisk.

Mówi się słusznie o prostocie jego wypowiedzi. Chodzi tu jednak o prostotę wyrafinowaną, daleką od wszelkiej naiwności, opartą na kulturze osobistej i elegancji porozumiewania się bez wylewności i wścibstwa. Nie wykluczone, że u podstaw znajdowała się pewna filozofia człowieka, poświadczona zresztą na marginesach naukowych prac Treugutta. To przede wszystkim szacunek dla obszarów życia jednostki objętych tajemnicą, zwłaszcza gdy wie się, że są to najczęściej obszary samoułudy, klęski i bezsensu, a więc lepiej zatrzymywać się na progu, na którym wzajemne zrozumienie jest możliwe.

Treugutt był zatem człowiekiem poważnym, ale takim, jakiego znosić łatwo. Także dzięki jego wytrawnemu poczuciu humoru. Mam na myśli nie tyle jego znanstwo anegdoty historycznej, chociaż będąc gigantem lektur pamiętnikarskich doceniał jej znaczenie. Myślę raczej o jego dowcipie incydentalnym, wyłaniającym się bezpośrednio z miłej pogawędki, niestety, nie dającym się z niej wyrwać i przez to niepowtarzalnym. Odcień tego dowcipu był czasem złośliwy, częściej — sceptyczny, najczęściej — wyrozumiały.

Ta postawa życzliwości wobec świata, łatwości sposobu bycia, pewnej — jak to się mówi — koncyliacyjności, bardzo szlachetnie zaowocowała wtedy, kiedy Treugutt był wicedyrektorem IBL-u. Chodzi o czasy politycznie przykre, o szczególną atmosferę roku 1968, o okres, w którym

nie po raz pierwszy, ale tym razem wyjątkowo dramatycznie nad Instytutem zawisła groza likwidacji. Treugutt wykazał wtedy żelazną wytrwałość w opieraniu się atakom podejmowanym przez funkcjonariuszy partyjnych różnych szczebli, mało sobie ważąc uszczypliwości niektórych kolegów, kierowane pod jego adresem jako „naszego Stanisława Augusta”. Pamiętam, jak mądrze osłaniał nas po tym, gdy na balkonach Pałacu Staszica w oparach gazu towarzyszyliśmy studentom 8 marca. Równie roztropnie, z zimną uprzejmością wyprowadzał z iblowskiego korytarza zomowców w czasie strajku 15 grudnia 1981. Te korytarzowe bądź konferencyjne pertraktacje, a to z tzw. Kazetem, a to z ludźmi Moczara, a to, potem, z soldateską Jaruzelskiego, miały aurę ponurą. Ale zdarzało się, dochodziły nas takie głosy, że Stefan zagrał *va banque*, ucinając oskarżenia śmiałym żartem; obezwładnieni pretorianie (i pretorianki) władzy ludowej wycofywali się, nie chcąc w oczach sławnego Treugutta uchodzić za ciemniaków.

Charakterystyczna dla Stefana umiejętność postępowania, otwartość na świat widziany w całej ostrości alternatyw, a równocześnie skłonność, by ocalać to co się sprzecznościom wymyka, przejawiała się nie tylko w rejonach wielkiej polityki. Kiedy studiowaliśmy na Uniwersytecie Warszawskim — on zresztą o trzy lata wyżej ode mnie — było na polonistyce dwóch mistrzów, a jednocześnie cichych rywali: Wacław Borowy i Julian Krzyżanowski. Otóż Treugutt, niewątpliwy uczeń Borowego, umiał także inspiracje Krzyżanowskiego sobie przyswoić, godząc jak gdyby te dwie odmienne opcje naukowe. Z Borowego wzięł świetny smak, koneserstwo, warsztat filologiczny wysokiej próby, z Krzyżanowskiego — wielostronność zainteresowań, energię poznawczą, waloryzację niskich rewirów kultury jako zjawiska społecznego.

Ta ostatnia kwestia wymaga może chwili uwagi. Chodzi nie tylko o to, że ten sam Treugutt, który był znakomitym komentatorem arcydzieł, nie lekcewał utworów klasy pośledniej. Istotne jest, że umieszczał je na ogólnej skali wartości humanistycznych, że poddawał je z pewną nawet pokorą procesowi rozumienia i wyjaśniania. Dlatego mógł prowadzić uczciwe porady dla amatorów piszących (audycja o ogromnym powodzeniu), dlatego podejmował pytania niestosowne wobec twórczości „wysokiej”. Już po jego śmierci pojawiło się np. nagranie radiowe dotyczące Rodziewiczówny. Z jakąż wnikliwością przedstawił tam przesłanki swoiście ksenofobicznej mentalności tej pisarki, nie częstując jednak jej admiratorów wyrazami obrzydzenia czy pogardy, doradzając jedynie historycznie uzasadnioną rezerwę w sytuacji, kiedy i tak górę weźmie zaufanie moralne do autorki *Dewajtisa* i sugestywność jej pióra. Kim innym był zapewne Treugutt w oczach przyjaciół ze środowiska teatralnego, kim innym jeszcze w oczach studentów i doktorantów.

Z tymi ostatnimi pracował bodajże bardzo solidnie, nie dając się zwieść efekciarstwu. Proszony o pomoc, zaskakiwał erudycją, znawstwem wielu dziedzin, nie tylko artystycznych. Dopiero teraz wiadomo, jak skrupulatnie czytał: książki pozostałe w jego bibliotece zawierają na karteczkach dziesiątki glos i uwag warsztatowych oraz pomysłów twórczych. Ale ani w swoich prelekcjach, ani w pracach pisanych nie zanudzał popisami wiedzy. Wrażliwy na wszelką pretensjonalność, obdarzony słuchem językowym (obok muzycznego), także i w tej sferze nie znosił mentorstwa, unikał purystów.

Jego współudział w Komitecie redakcyjnym „Tekstów” nie był przypadkowy, skoro oblicze tego pisma kształtowała błyskotliwa inteligencja ludyczna, a zarazem dążenie, by docierać do istoty problemów humanistycznych naszego czasu.

Właśnie w „Tekstach” (1975 nr 5) ogłosił jeden ze swych świetniejszych szkiców napoleońskich, poświęcony opisowi bitwy pod Waterloo w *Pustelni parmeńskiej*. Ulubiona scena z ulubionego Stendhala, pozwalająca bytować w orbicie ulubionego cesarza. Treugutt podjął tu w mikroskali fascynujący go temat mitu i utopii. W tym wypadku chodziło o deheroizację bohatera i deheroizację wydarzenia, jakim była sławetna bitwa, tylko dzięki powieściowemu punktowi widzenia dająca się oglądać „z niskiego poziomu ludzkich oczu”. Prawdą o Waterloo okazała się prywatna prawda Fabrycego del Dongo, który płacząc pod wierzbą widział *tout ce qu'on peut voir d'une bataille, c'est-à-dire rien*. Ta złośliwa i cyniczna nieco prawda została przeciwstawiona zarówno okrucinom wiedzy o faktach jak i mistyfikacjom kolejnych wersji narracji historycznej oraz epiki batalistycznej. Literackość zatriumfowała nad zdarzeniowością, a tym bardziej nad dyskursem, który zdarzeniami manipuluje. Ten cienko postawiony problem spotkał się w tekście z bardzo bogatą argumentacją, zarówno w zakresie poetyki jak i biografii pisarza. Detalom historycznym śledzonym w relacjach źródłowych towarzyszy autopsja topograficzna zza szyby współczesnego samochodu. Nawet dwunastoletniej panienczce, której pan Beyle opowiada o bitwie, wyznaczył Treugutt rolę w igraszkach perspektywą. Dowiadujemy się, że chodzi o przyszłą cesarzową Eugenię; to ona była ongiś mimowolnym świadkiem narodzin wielkiego pomysłu pisarskiego. Szkic mistrzowski w wykonaniu, ale przede wszystkim stawiający tezę przekorną wobec historycyzmu, z którym Treugutt był związany podobnie jak całe pierwsze pokolenie iblowskie, ale któremu wystawił tutaj jawne votum nieufności.

Dystans w stosunku do koncepcji dziejów spod znaku Hegla, a choćby i jej nowoczesnych wcieleń, dał się już chyba widzieć w książce o *Beniowskim*. Nie mnie wypowiadać się na temat tej książki, jak i w ogóle

znaczenia prac Treugutta nad romantyzmem. Pamiętam, że w chwili gdy się ukazała, odebrałam ją jako faktyczne przeciwstawienie się szkole historii idei, mimo posługiwania się przez autora pojęciami z zakresu typologii ideologicznej.

W przypadku prac Stefana Treugutta trudno zresztą kwalifikować założenia teoretyczne, z reguły świadomie ukryte za językiem filologii, mitografii, a także konstrukcji stylu w duchu New Criticism. Był z pewnością badaczem niezależnym, nie dającym się uwodzić przez mody metodologiczne. Nie znaczy to, że ich nie śledził czy z nich nie czerpał. Nowe techniki obłaskawiał z zachowaniem własnego porządku myślenia, ale wykazywał dużą dla nich ciekawość.

Najbardziej spektakularnie przejawiała się ona w pasji kupowania książek. Kiedy po Październiku otworzyły się możliwości dotarcia do nowości wydawniczych humanistyki światowej, Stefan był pierwszym i głównym łowcą tych wspaniałości. W poniedziałki o godzinie dziesiątej w księgarni PAN w Pałacu Kultury prezentowała się tzw. wzorcówka. Nasza kilkuosobowa grupka szaleńców książkowych korzystała z dobroci Stefana Żółkiewskiego, który odstąpił nam na zawsze magiczny numer 101, konto osobiste akademika, pozwalające składać indywidualne zamówienia. Skumplowany z szatniarzem, Treugutt rzucał mu zwał naszych palt, kiedy po mozolnym przebyciu największego placu w Europie zajmowaliśmy strategiczną pozycję przy drzwiach wzorcowni, by przepchnąć się przez tłum konkurentów, biegiem znaleźć się koło właściwego stołu i zdążyć zamówić jedyny egzemplarz książki, mogącej okazać się Xięgą. Potem szliśmy do pobliskiej kawiarni „Europa” *vel* „Stolica”, siadając przy stoliku, nad którym ścianę zdobiły dwa mocujące się misie; nazywaliśmy je walką dwóch marksizmów. Rozmowa dotyczyła wszystkich najważniejszych kwestii tego świata, ale zwłaszcza obejrzanych przed chwilą książek.

I teraz dopiero uświadamiam sobie, że kiedy dłużej rozpamiętuję postać Stefana, widzę go zawsze wobec wyzwania, jakie stwarza sterta książek o nieznannej jeszcze sile — czy to w zgrzebnym Korbutianum lat czterdziestych, gdy parał się zakurzonymi foliałami jako student, a potem asystent, czy to w jego gościnnym domu, gdzie „całe miejsce” na masywnym stole zabierały stosy edycji grubych i dostojnych, zmyślnie przemieszanych z tandetnymi pozornie *paperbackami*, czy wreszcie właśnie w absurdalnej peerelowskiej wzorcowni, gdzie rozciągało się najwspanialsze pole walki.

Mirosława Puchalska